



Billie Holiday jest dobra na wszystko, na Nowy Jork i na Wrocław

Jazzowo-
bluesowy
spektakl
o Ameryce
tracącej
niewinność

„AMERYKAŃSKI BLUES”
WEDŁUG B. HENLEY,
A.R. GURNEYA,
A. MILLERA, J.C. OATES,
REŻYSERIA
KRYSZYNA MEISSNER,
SCENOGRAFIA
ANDRZEJ WITKOWSKI,
Teatr Współczesny
we Wrocławiu

W „Amerykańskim bluesie” Lena Skrzypczak gra wokalistkę z zadytmionego nowojorskiego klubu. W przerwach między scenami wykonuje hity Billie Holiday. Śpiewając, zamyka oczy, wymienia uśmiechy z muzykami lub dziewczynami z chóru, pojękuje i mruczy do mikrofonu. Jednak nie przyszła tu, żeby udawać Billie, ale żeby przywołać smutek. Każda wprowadzająca nową etiudę piosenka jest dla widzów jak lekcja słuchania: dialog bohaterów brzmi po niej zupełnie inaczej.

Krystyna Meissner zawiązała w swoim spektaklu jednoaktówki czterech amerykańskich autorów. Różne w nastroju i konwencji obrazki obyczajowe i dramatyczne z Ameryką w tle. Nie tą współczesną, politycznie poprawną i hurrapatriotyczną, lecz tą retro, uwięzioną gdzieś w latach 50. i 60. Z czasów, kiedy Amerykanie jako społeczeństwo tracili niewinność.

Gdzie jesteśmy? W barze? Na ulicy? Scenę zamyka biały ekran z wyświetlanymi slajdami obrazów Basquiata: nerwowych, genialnie bałaganiarskich graffiti. Konstruując teatralną opowieść, reżyserka ułożyła fikcyjną biografie jakby jednej rodziny: zmieniają się sytuacje, problemy, domy, nazwiska mężczyzn i kobiet, jednak oblicze losu pozostaje takie samo.

Oto amerykańscy everymani gubią się w dorosłym życiu (bohater pierwszej jednoaktówki spędza noc z przypadkową dziewczyną); patrzą, jak od-

chodzi od nich miłość (farsa małżeńska z problemem rasowym w tle); boją się choroby (trzecia etiuda to rozmowa dwóch mężów zdumionych załamaniem psychicznym niepracujących żon). W końcu ogarnia ich gorycz klęski, kiedy czują, że ich dzieci też przeżyły, pogubiły się jeszcze bardziej. W ostatniej, najlepszej etiudzie stare, prowincjonalne małżeństwo zaproszone do telewizyjnego programu nie może pogodzić się z winą syna mordercy. Nie rozumie, dlaczego zabił, jeśli zabił; nie dopuszcza do siebie myśli, że oni też w jakiś sposób zawiniли.

„Amerykański blues” ma dziwną, nieformalną lekkość, wariacyjność i giętkość. Meissner zmienia nastroje, groteskę przykrywa depresją, nawet ironia wskakuje rozpacz na plecy. Przedstawienie nie próbuje ani stawiać wielkich pytań, ani na nie odpowiadać. Migają nam przed oczami sceny pełne upadku, samotności i wstydu. Kolejne jednoaktówki wydają się niemal urwane, bez punkt, bo to jazzowo-bluesowe nutki zamieniają puente na atmosferę. Teatr chowa się za synkopą.

Po co w ogóle w tym świecie rozbrzmiewa muzyka Billie? Śpiewane przez Lenę Skrzypczak kawałki dają ukojenie po klęsce. Udowadniają, że z codziennego banału i bólu rodzi się czasem jakieś smutne piękno. Nawet w tej strasznej Ameryce.

ŁUKASZ DREWNIAK

